

Nina Andrycz

— Kiedy Pani wraca z Teatru Polskiego Nowym Światem do domu, w błyszczącej skórzanej kurteczce, na pewno nikt z przechodniów nie mógłby powiedzieć „człgodna jubilatka”, a przecież...

— Nie da się ukryć, że zaczęłam 41 rok pracy w Teatrze Polskim. Niedawno pewien młody muzyk z Krakowa zapytał mnie: „Czy pani tej swojej bezprzykładnej wierności Teatrowi Polskiemu, temu przy Karasia 2, po latach aby nie żałuje?” Pytanie padło znieścacka i poczułam jakby lekkie uklucie w serce. Jakże bym mogła wyfumażyć przedstawicielowi zupełnie innej generacji, czym był ten Teatr dla kultury polskiej w ogóle, a dla mnie w szczególności. Toż to temat na sporą książkę, a nie na krótką rozmowę. Właśnie 40 lat temu tu w tych murach odbył się tzw. popis Szkoły Dramatycznej, wzorowo prowadzonej przez Aleksandra Zelwerowicza. Ledwie zeszałam ze sceny jako 20-letnia absolwentka tej uczelni, jak wszechwładny dyrektor pięciu scen warszawskich p. Arnold Szyfman przysłał po mnie znakomitego aktora i reżysera Janusza Warneckiego. Stałam właśnie w garderobie w kostiumie Salome, czyli na dobrą sprawę bez kostiumu i mimo pięknej czerwcowej pogody trzęsam się ze świeżo przeżytych emocji, a tży księżniczki jeszcze nie obeschły mi na policzkach. Pan Warnecki uśmiechnął się pogodnie i oznajmił, że dyrektor Szyfman prosi mnie do swego gabinetu. Natychmiast. „Jestem... Jestem nieubrana” — wybełkotałam. Pan Janusz kazał mi narzucić na kostium płaszcz i szybko iść do dyrektora. I w tym nieefektywnym, uczniowskim płaszczku zostałam zaangażowana do Teatru Polskiego, który był w tej epoce istną konstelacją gwiazd.

— W tych murach mając 22 czy 23 lata Pani również grała już role prowadzące.

— A fachu uczyli mnie najlepsi polscy reżyserzy: Leon Schiller, Aleksander Węgierko i wielu, wielu wspaniałych artystów. Występowałam obok Marii Przybytko-Potockiej — współzałożycielki Teatru Polskiego — moimi partnerami byli: Węgrzyn, Junosza-Stępowski, Brydziński, Jerzy Leszczyński. Myślę więc, że jeśli z jakimś teatrem jest się związana wspomnieniami młodości, pierwszej miłości i pierwszych osiągnięć na miarę „Lata w Nohant”, to nic dziwnego, że jest się mocno związaną...

— Ale teatr, jak każdy żywy organizm, może kwitnąć lub kuleć.

— Tak, to prawda. Toteż nieraz mówiliśmy sobie z nieodżałowanym kolegą Jasiukiewiczem, że jeżeli rodzice starzeją się, brzydą czy kuleją, to się ich z tego powodu nie rzuca. A ja przecież jako aktorka urodziłam się w Teatrze Polskim. To jest mój chleb powszedni — niezbędny! — i porcja złudzeń. To moje tekturowe korony Borgiów, Stuartów, Tudorów, Ptolomeuszów, ostatnio zaś papiloty Anielci Dulskiej — żeby się nie zasklepić w królewskim empois.

— Jednak jubileusz Pani teatru jeszcze raz osadza Panią na tronie.

— I w dodatku muszę skazać na śmierć samą siebie...

— Przecież Pani gra Elżbietę!

— No właśnie, jako Elżbieta muszę skazać samą siebie, to znaczy Marię Stuart, co prawda sprzed 18 laty i z tragedii Juliusza Słowackiego,



... B. J. Dorys

go, niemniej gdy jakąś rolę grało się tak wiele razy, to trudno się dziwić, że czynić to będę z niejakim łękiem.

— Tym większe będzie chyba Pani współczucie dla Maril?

— O tak, mam wiele sympatii dla kobiet szalonych i romantycznych.

— Czy wynika to z upodobania, czy charakteru?

— Z charakteru. Gdy nie kontrolowany... W końcu to ja przecież grałam i Emmę Bovary, i damę z kameliami.

— Ale teraz gra Pani kobietę wyjątkowo rozsądną.

— Elżbieta, królowa Anglii, to człowiek nieprzeciętnie mądry, nawet ze współczesnego punktu widzenia. Urodzony polityk, świetna dyplomatką.

— W końcu któż te jej zalety może lepiej od Pani ocenić...

— Do tych talentów politycznych — wszak ona zbudowała potęgę Anglii — dodajmy jeszcze, że była sawantką, sportsmenką, a gdy okoliczności tego wymagały, wspaniałą damą Renesansu, ośniewającą kulturą, wszechstronnym wykształceniem i dowcipem.

— Ale Elżbieta była również kobietą.

— Och i jak jeszcze. Swoje wielce wymyślne robrony — dzieło Teresy Roszkowskiej — nosiła na bardzo zgrabnym ciele, a do tego miała złotorudę włosy i ośniewającą cerę. Czegóż można chcieć więcej? I jak wiele kobiet nieprzeciętnych za swoją mądrość zapłaciła wysoką cenę, nie wyszła za mąż za jedyne go człowieka, którego naprawdę kochała — hrabiego Laicestera. Chciała być królem, a nie królową. Jej postać, zresztą znakomicie, przybliżył szerokiej publiczności angielski serial.

— Niedługo Pani przedstawi Elżbietę swojej warszawskiej publiczności. Jaka ona będzie?

— Odpowiem jednym z najukochańszych jej aforyzmów: „Natura jest piękna dzięki swojej zmienności”. Moja Elżbieta będzie także bardzo zmienna. A premiera? Niebawem, i ja już przestaję sypiać. Bez żadnej przesady — jest to stan takiego napięcia nerwowego, że nawet nikt z najzyczliwszych krytyków teatralnych nie może sobie wyobrazić, czym są koszta własne tej produkcji.

— A właśnie. Co dla Pani znaczy być aktorką?

— Móc żyć. Każda rzeczywistość faktyczna, nawet jeśli jest bardzo udana, to za mało. A wracając do naszej rozmowy, tylko dzięki sztuce można być Elżbietą, raz Marią.

Rozmawiała: ANNA BORKOWSKA